

ELLEN MARIE
WISEMAN

KOLEKCJONERKA
SIEROT

POWIEŚĆ
AUTORKI BESTSELLERA
TO, CO ZOSTAWIŁA



ELLEN MARIE
WISEMAN

KOLEKCJONERKA
SIEROT

PRZEŁOŻYŁ
PRZEMYŚŁAW HEJMEJ



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Orphan Collector

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Marina, © rory / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © sutlafk / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

THE ORPHAN COLLECTOR

Copyright © 2020 by Ellen Marie Wiseman

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-104-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ 1



PIA

28 września 1918 roku

Tego słonecznego wrześniowego dnia na ulice Filadelfii niezuważenie zakradł się śmiertelnie groźny wirus i pośród radosnego chaosu parady Liberty Loan oraz marszowych utworów Johna Philipa Sousy nikt nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Dwieście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wymachiwało amerykańskimi flagami, przepychało się, by zdobyć najlepsze miejsca widokowe wzdłuż trzykilometrowej trasy, a ci z tyłu, za nimi, wykrzykiwali słowa aprobaty do przechodzących zespołów muzycznych, skautów, pomocniczych oddziałów kobiecych, marines, marynarzy i żołnierzy. Nad tłumem przelatywały samoloty, konie pociągowe ciągnęły haubice kalibru dwustu milimetrów, grupki mundurowych popisywały się sztuką władania bagnetem, biły kościelne dzwony, rozlegał się pisk policyjnych gwizdków. Przyjaciele się obejmowali, podawali sobie dłonie, zakochani się całowali, dzieci częstowały słodyczami i napojami gazowanymi.

Owi radośni widzowie byli nieświadomi, że bakcyl śmiertelnej choroby wydosłał się właśnie ze Stoczni Marynarki Wojennej; nie mieli też pojęcia, iż dzień wcześniej w miejscowych szpitalach hospitalizowano ponad dwieście osób. Ani że liczni eksperci od chorób zakaźnych naciskali na burmistrza, aby odwołał uroczystości. Nie miałyby to jednak żadnego znaczenia – ludzie przyszli bowiem wyrazić wdzięczność żołnierzom, kupować wojenne obligacje, okazywać patriotyzm czasów wojny. Ich umysły zajmowało nade wszystko zwycięstwo w Europie – oraz niedopuszczenie Hunów do Ameryki.

Wielu gapiów słyszało już o grypie, która nawiedziła Boston i Nowy Jork, ale dyrektor laboratoriów w Instytucie Phippsa w Filadelfii ogłosił właśnie, że zidentyfikował czynnik odpowiedzialny za ten konkretny wariant choroby wywołującej tyle problemów – pałeczkę Pfeiffera. Lokalne gazety stwierdziły, że grypa nie stanowi żadnego zagrożenia, ponieważ występuje w historii ludzkości od niepamiętnych czasów i zwykle pojawia się przy zanieczyszczeniu powietrza, mgłę oraz plagach owadów – a żadnej z tych rzeczy w Filadelfii nie zaobserwowano. Dlatego należy uznać za rozsądne, że dopóki obywatele podporządkują się nakazom Komitetu Ochrony Zdrowia – stopy mieć zawsze suche, dbać o ciepłotę ciała, jeść więcej cebuli, wypróżniać się regularnie, otwierać okna – wszystko będzie dobrze.

Tylko trzynastoletnia Pia Lange czuła, że coś jest nie tak. I to nie dlatego, że jej najlepszy kolega, Finn Duffy, opowiadał jej o martwych marynarzach, których jego brat widział przed jednym z miejscowych barów. Nie ze względu na plakaty na słupach telefonicznych i budynkach, które głosiły: „Kiedy musisz kaszleć albo kichać, zawsze zasłaniaj twarz chusteczką do nosa, papierową serwetką albo jakimś materiałem” oraz: „Zasłaniajcie usta! Grypa rozprzestrzenia się drogą kropelkową!”.

Pia czuła, że coś jest nie tak, ponieważ idąc zatłoczoną trasą parady za swoją matką – która pchała jej braci bliźniaków w wiklinowym wózku dziecięcym – poczuła dziwny niepokój. Jakby otoczyło ją gęste powietrze tuż przed letnią burzą z piorunami, a w brzuchu zagościł przykry, znamionujący wymioty wir. Dyskomfort wśród tłumów towarzyszył jej często – dziewczynka nie mogła zapomnieć ogarniającej ją paniki, gdy pierwszy raz wędrowała tłocznymi ulicami Filadelfii. Ani też dnia, w którym Finn zaciągnął ją na wodowanie okrętu wojennego na Hog Island, gdzie obecni byli prezydent Wilson oraz trzydzieści tysięcy innych osób. Na wodzie unosiło się mnóstwo holowników, parowców i barek udekorowanych amerykańskimi flagami.

Tym razem było jednak inaczej. Coś, czego Pia nie potrafiła nazwać, napierało na nią ze wszystkich stron – coś ciężkiego, niewidzialnego i groźnego. Pomyślała zrazu, że to przez upał i tłok na chodnikach, ale potem doznała znajomego poczucia tonięcia, z którym dorastała i którego starała się unikać, a także naglej, przygniatającej świadomości, iż coś jest potwornie nie tak. Odnosiła wrażenie, że znów jest małą dziewczynką, która chowa się przed ludźmi za fartuchem *Mutti*, niezdolną wyjaśnić, dlaczego zawsze woli bawić się sama. Dziewczynką, która nie chciała nikomu podawać ręki, przytulać się, siadywać na kolanach. Dziewczynką, która była wdzięczna, jeśli pomijano ją przy grze w piłkę albo skakance, a jednocześnie z tego powodu pękało jej serce.

Patrząc na chłopców w znoszonych kurtkach i łańcuchach spodniach, którzy wspinali się na uliczne latarnie, by lepiej widzieć paradę, Pia zapragnęła do nich dołączyć, uciec od ścisłu wciąż potężniejszego tłumu. Chłopcy krzyczeli, śmiali się, machali kaszkietami, wisząc jak małpy pod gigantycznymi flagami Stanów

Zjednoczonych. Bardzo chciała być taka jako oni: beztroska, nieświadoma zagrożeń. Było to jednak niemożliwe. Bez względu na to, jak bardzo by się starała, Pia nie miała na to szans.

Wróciła spojrzeniem na chodnik; matka gdzieś zniknęła. Dziewczynka otworzyła usta do krzyku, a potem ugryzła się w język. Nie powinna wołać do *Mutti* – przynajmniej nie na cały głos. Używanie języka niemieckiego w sferze publicznej przestało być akceptowane. Rodzice na zawsze pozostaną w jej głowie jako *Mutti* i *Vater*, choćby prawo tego zakazywało, ale Pia nie śmiała zwracać na siebie uwagi tłumu, wzywając mamę w obcej mowie. Stanąwszy na palcach, by dojrzeć cokolwiek spoza pleców i barków, kilka metrów dalej zauważyła górną część matczynego wyblakłego brązowego kapelusza i pospieszyła w tym kierunku. Czasem się na chwilę zatrzymywała lub przesuwiała na bok, żeby nie wpaść na ludzi po drodze.

W końcu znów znalazła się za swoją *Mutti*, otarła pot znad górnej wargi i odetchnęła z ulgą. Ostatnie, czego potrzebowała, to zgubić się w centrum miasta. Pochylając ramiona, by zmniejszyć objętość sylwetki, trzymała się możliwie blisko mamy, pragnęła, żeby rodzicielka zwolniła kroku. Uchyłała się, kluczyła, kucała, chcąc uniknąć morza otaczających ją nagich ramion i dłoni. Gdyby tylko mogła się schować w dziecięcym wózku, obok braci, nakryć ich kocykami! Wiedziała, że na paradzie nie będzie jej łatwo, ale tego wszystkiego się nie spodziewała.

Odkąd Pia sięgała pamięcią, była wyjątkowo nieśmiała. *Mutti* mówiła, że bardzo niewiele osób mogło utrzymać jej córkę na ręku, kiedy ta była niemowlęciem, ponieważ płakała tak, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Pia doszła z czasem do wniosku, że każdy doświadcza nieśmiałości w ten sam sposób – jako fizycznego doznania, czegoś na kształt gorączki, bólu brzucha albo drapania w gardle.

Niekiedy zastanawiała się, co by się stało, gdyby nie *Mutti* stale chroniąca ją przed mężczyznami, którzy mieli ochotę szczypać ją w policzki, przed starymi damami, które wymachiwały nad nią palcami, dowodząc w ten sposób swojej rzekomej nieszkodliwości. Lecz stopniowo jej reakcje się zmieniały, szczególnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Dotykając czyjejś nagiej skóry, Pia zaczynała rejestrować u siebie inne doznania: swoisty tępy ból głowy lub klatki piersiowej, dziwny dyskomfort w ramieniu czy w nodze. Nie za każdym razem, ale na tyle często, że zaczęła się zastanawiać, czy aby wszystko z nią w porządku. Obecnie ilekroć szła do pasmanterii albo na rynek warzywny, wybierała jezdnię, byleby nie maszerować zatłoczonymi chodnikami. Oczywiście uważała na konie, powozy, bicyle i automobile. Podawanie handlarzom monet przyprawiało ją o gęsią skórę, więc najczęściej po prostu rzucała je na ladę. Niestety nic na to wszystko nie mogła poradzić. Powiedzenie o tym *Mutti* – albo komukolwiek innemu – zupełnie nie wchodziło w grę, zwłaszcza po tym, jak Pia usłyszała o swojej ciotecznej babce Lottie, która drugą połowę życia spędziła zamknięta w zakładzie dla obłąkanych w Niemczech – widziała bowiem rzeczy, których nie ma. Bez względu więc na to, jak dziewczynka czuła się zdezorientowana lub załęknioma, nie zamierzała ryzykować osadzenia w domu wariatów.

Niestety najgorsze obawy wędrującej zatłoczonymi chodnikami Pii miały się zaraz potwierdzić: oto wpadł na nią, przeciąwszy strumień pieszych, jakiś mężczyzna w lnianym garniturze i w słomkowym kapeluszu. Najpierw się roześmiał, a następnie – kiedy zdał sobie sprawę z tego, co zrobił – wygłosił przeprosiny. Nauczona zachowywać się grzecznie, dziewczynka zmusiła się do uśmiechu – była w tym tak dobra, że czasami ją to przerażało – a wówczas mężczyzna uszczypnął ją w policzek. Ostry ból przeszył pierś Pii, jakby rozdarło jej serce na dwoje. Zadrzała,

obrzuciła wzrokiem własną postać pewna, że z klatki piersiowej wystaje jej nóż. Noża jednak nie było. Ani też krwi kapiącej z bawełnianej sukienki uszytej z worków po mące. Cienki stan pozostawał gładki i nieskazitelny, czysty jak tego ranka, kiedy wkładała sukienkę. Cofnęła się, żeby uciec przed tym człowiekiem, lecz on już zdążył zniknąć – wraz z nim odchodził ból. Natężenie owego bólu pozostawiło Pię dygoczącą i słabą.

Nagle jakaś mała, chłodna dłoń zacisnęła się na jej rękach. Poczuła skurcz w piersiach, coraz mocniejszy przy każdym oddechu. Dałaby słowo, że słyszy grzechotanie w płucach, ale przy tym całym zgiefku nie mogła być pewna. Wyrwała rękę i spojrzała w dół. Wpatrywała się w nią jakaś mała dziewczynka w marszczonej białej sukience – uśmiechała się do chwili, w której zdała sobie sprawę, że Pia jest obcą osobą. Nagle strach wykrzywił jej twarzyczkę, w panice zlustrowała tłum, po czym odbiegła, wzywając matkę. Kiedy mała zniknęła, Pia znów mogła oddychać normalnie.

Jakże tęskniła za Hazleton w Pensylwanii, gdzie nad otwartą, pełną dzikiego kwiecia przestrzenią rozciągało się błękitne niebo, gdzie pasły się stada jeleni, gdzie nie było długich na wiele mil chodników, stykających się ze sobą budynków ani ludzkich hord. W Filadelfii nie mogła przejść choćby trzech metrów, żeby na kogoś nie wpaść, a każdy widok, dźwięk i zapach zdawał się groźny i obcy. W sąsiednich zaułkach wałało się mnóstwo śmieci, cuchnęło ściekami, w zakamarkach i szczelinach murów czaiły się ogromne szczury, które przemykały między ścianami. Na ulicach o miejsce walczyły powozy, furmanki oraz automobile, chodnikami zdążało więcej ludzi, niż Pia widziała w życiu. Miasto kojarzyło się jej z zapchanym ulem, w którym zamiast owadów roi się od istot ludzkich. Nawet szeregowie domy były przepełnione; wiele rodzin tłoczyło się tam w dwóch lub trzech pokojach. Oczywiście w górniczym miasteczku Hazleton też nie

brakowało życiowych trudności – ściany ich chaty były cienkie jak papier, wszystko, od ubrań po kuchenny stół, zdawał się pokrywać węglowy pył, a co gorsza, wyczerpująca praca ojca, kopanie urobku, wiązała się z niebezpieczeństwem – mimo to Pia wcale nie czuła mniejszej tęsknoty za domem. Radowało ją, że trochę ponad rok temu *Vater* znalazł sobie mniej uciążliwą pracę w dużym mieście, tęskniła jednak za kurami na podwórku oraz psem gończym sąsiada śpiącym pod ich gankiem. Brakowało jej wędrowek połą ścieżką do chaty wdowy Wilcox, gdzie uczyła się czytać i pisać. Tęskniła za górskimi szlakami, za trawnikiem przed frontowymi drzwiami. *Vater* mówił, że Pia czuje nostalgię za Hazleton, bo wołają ją łagodne wzgórza i zielone pola Bawarii. A kiedy mu przypominała, że gdy wsiadała na statek płynący do Ameryki, miała tylko cztery lata, ojciec się śmiał i twierdził, że córka ma Niemcy we krwi, tak samo jak zamięłowanie do słodyczy. Jak on ma we krwi miłość do jej matki.

Na myśl o ojcu oczy Pii zapłoneły. Gdyby tu teraz był, z nimi, trzymałaby się jego szerokiej, spracowanej ręki, opierała o wysoką, muskularną postać. Dwukrotnie ścisnąłby jej palce, szybko, raz za razem, jak zawsze to czynił, co oznaczało: „Kocham cię”. Ona odwzajemniłaby się tym samym, a potem uśmiechnęliby się do siebie zachwyceni swoim małym sekretem. Nikt by się nie domyślił, patrząc na tego człowieka, że ma on czułe serce, że ciągle pogwizduje, śpiewa i żartuje; raczej pospieszenie schodzono mu z drogi ze względu na imponującą posturę oraz niezwykle szerokie bary. Z ojcem u boku Pia szłaby przez tłum prawie niewzruszona. Było to jednak niewykonalne, gdyż przed trzema miesiącami *Vater* zaciągnął się do wojska, podobnie jak dwóch jego amerykańskich przyjaciół niemieckiego pochodzenia, aby udowodnić swą lojalność wobec Stanów Zjednoczonych. Przebywał teraz gdzieś we Francji, a jego córka nie miała pojęcia,

kiedy tata wróci do domu. Przeprowadzka do metropolii, gdzie miało być bezpieczniej, zdała się na nic – tak powiedziała zapłakana *Mutti* w dniu jego wyjazdu.

Nagle jakaś kobieta w kostiumie Lady Liberty wepchnęła się między Pię a jej matkę, wyrывая dziewczynkę z zamyślenia. Kiedy nagie przedramię otarło się o dłoń Pii, ta wstrzymała oddech, czekając na początek dziwnego doznania. Ku swej uldze nie poczuła niczego. Odprężwszy napięte ramiona, wypuściła powietrze z płuc i spróbowała się uspokoić. Musi wytrzymać tylko godzinę, mniej więcej. To wszystko. Potem pójdzie do domu, do swojego pokoju na Shunk Alley w Piątym Okręgu, gdzie dostęp mieli wyłącznie ludzie przez nią kochani.

Mutti zatrzymała się raptem, żeby porozmawiać z panią ze sklepu spożywczego. Na oczach Pii zacisnęła się para lepkich rąk. Ktoś zachichotał jej do ucha. Natychmiast poczuła ostry ból w okolicach żeber, od którego zrobiło jej się gorąco i zakręciło się w głowie. Oderwała obce dłonie od swojej twarzy i odwróciła się. Stali przed nią Tommy Costa, piegowaty chłopiec, który dokuczał jej podczas przerw międzylekcyjnych w szkole, a także dwóch jego kolegów, Angelo DiPrizzi oraz Skip Turner. Zaśmiali się, pokazali Pii język i uciekli. Razem z nimi umknęło nieprzyjemne doznanie pod żebrami.

Gdy *Mutti* wybrała wreszcie miejsce do śledzenia parady, Pia cała się trzęsła. Wcześniej błagała matkę, żeby pozwoliła jej zostać w domu, obiecywała nawet wysprzątać ich dwupokojowe mieszkanie pod nieobecność rodzicielki i bliźniąt. Jednakże, mimo świadomości, jak córka czuje się podczas tłumnych zgromadzeń, *Mutti* się nie zgodziła.

– To jedyny sposób udowodnienia naszej lojalności wobec Ameryki – oznajmiła po angielsku z tym swoim ciężkim akcentem. – Nie jest nam łatwo po słowach prezydenta Wilsona,

że wszyscy Niemcy to wrogowie. Przestrzegam nowych praw. Podpisuję dokumenty, które każą mi podpisywać, żeby zrezygnować z niemieckiego obywatelstwa. Pozwalam pobierać sobie odciski palców. Ale nie mam pieniędzy na finansowanie funduszu Liberty ani na wpłaty na Czerwony Krzyż. Muszę wykarcić ciebie i twoich braci. Dlatego trzeba nam iść na tę paradę. Wszystkim. Nawet fakt, że wasz ojciec walczy na froncie, nie uspokaja sąsiadów.

– Ale to chyba bez znaczenia, czy pójde z tobą, czy nie – odparła Pia. – Wszyscy cię tam zobaczą, a bliźniakom będzie się podobać. Ja mogłabym przygotować wtedy kolację i czekać z nią na wasz powrót.

– *Nein* – rzuciła matka. Gdy tylko to słowo wyszło z jej ust, na twarzy odmalował się niepokój. – To znaczy nie. Musisz iść z nami. Radio i gazety każą ludziom uważać na sąsiadów niemieckiego pochodzenia, zgłaszać wszystko władzom. Przed wyjazdem twojego ojca jakaś kobieta dopadła do mnie z krzykiem, że on ukradł pracę prawdziwym Amerykanom. Splunęła i stwierdziła, że powinnam wracać tam, skąd pochodzę. Nie zostawię cię w domu samej.

Pia wiedziała, że *Mutti* ma rację; wystarczająco często dokuczano jej w szkole, by rozumieć, iż wszystko, co mówiła mama, jest prawdą. Krążyły pogłoski, że niemieccy szpiedzy zatruwają żywność, a Amerykanie o niemieckich korzeniach potajemnie gromadzą broń. Niektórych Niemców wsadzano nawet do więzień albo internowano. W całym mieście rozklejono plakaty ukazujące Niemców, którzy stoją nad trupami, oraz reklamy nakłaniające do kupowania wojennych obligacji, żeby „bić Hunów!”. Kościoły z niemieckimi wiernymi oznaczano żółtą farbą, niemieckojęzyczne gazety zamykano, a dzieci w wieku szkolnym zmuszano do podpisywania zobowiązań, że nigdy nie będą używać

żadnego języka obcego. Jakby tego było mało, specjalna jednostka policji zwana Gwardią Krajową, początkowo sformowana do patrołowania ulic, aby zapewnić ochronę kluczowym obiektom w mieście – zakładom wodociągowym, stacji pomp, elektrowni, centrali telefonicznej oraz stacjom zasilania w różnych fabrykach – przeczesywała obecnie południową część miasta, nie spuszczając z oka niemieckich imigrantów. Niektóre firmy nie chciały zatrudniać Niemców; na przykład *Mutti* straciła pracę w zakładach włókienniczych. A ponieważ potrzebowała zezwolenia na wypłatę pieniędzy z banku, pozostała im tylko niewielka ilość gotówki ukryta pod deską podłogową w sypialni, gdzie stała szafka z ubraniami dzieci. Zmieniono nawet nazwy takich artykułów jak sauerkraut czy hamburgery: na „kapustę wolności” oraz „kanapki wolności”.

Jednakże świadomość, że *Mutti* ma rację, wcale nie ułatwiała wyprawy na paradę.

Trzy dni po paradzie, gdy podczas lekcyjnej przerwy koleżanki śmiały się, grały w klasy albo skakały na skakance, Pia siedziała samotnie w tym samym miejscu co zwykle – na płaskim kamieniu nieopodal ogrodzenia szkolnego boiska – i udawała, że czyta. Powietrze było blade, szare jak dym, wiatr niósł lekki chłód. Na szczęście pamiętała, żeby zabrać sweter, zwłaszcza że okna w szkole cały czas trzymano otwarte dla ochrony przed grypą. Jej mundurek sięgający kolan miał długie rękawy, bawełniane pończochy były grube, lecz materiał spódnicy i stanu, pozyskany z worków na mąkę, wytarł się od używania. Dziewczynka odłożyła książkę, naciągnęła mankiety na pięści i spróbowała opanować drżenie. Trzęsała się z zimna, a może dlatego, że nie potrafiła przestać myśleć o tym, co widziała i słyszała w trakcie parady Liberty Loan.

Pani Schmidt powiedziała *Mutti*, że w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin trwania owej parady wszystkie łóżka we wszystkich trzydziestu jeden miejskich szpitalach zostały zajęte przez chorych na nową dolegliwość zwaną grypą hiszpańską. Placówki zaczynały odmawiać przyjmowania pacjentów. Czwartego dnia na tę chorobę zapadło ponad sześćuset filadelfijczyków, w ciągu doby umierało sporo ponad stu. Pia podsłuchiwała też rozmowę nauczycieli o brakach lekarzy i pielęgniarek wywołanych wojną, a także o wykorzystywaniu przytułków dla ubogich i kościołów na tymczasowe lazarety. Pojawiło się więcej plakatów głoszących, że „plucie równa się śmierć”. Policja aresztowała każdego, kto do tego zalecenia się nie stosował. Jeszcze inny plakat ukazywał mężczyznę w garniturze stojącego obok sylwetki szponiastego demona, który unosił się znad kałuży śliny na chodniku, z podpisem: „Powstrzymać epidemię! Niech wszyscy przestaną pluć!”. A ponieważ każdy nosił wokół szyi zapakowane w muslin główki czosnku albo kulki kamfory, na ulicach unosił się przykry, osobliwy zapach, który Pii kojarzył się z wonią śmierci. Najbardziej przerażała ją podsłuchana informacja, że kto zachoruje, zazwyczaj nie dożywa zmroku; jego twarz robi się czarnoniebieska, a z ust, nosa, uszu, a nawet oczu tryska krew.

Dziewczynka miewała koszmary pełne upiornych wizji przedstawiających gapiów z parady, które migały jej w umyśle niczym rwana taśma filmowa w fotoplastykonie – każda twarz miała czarne usta i fioletowe policzki, z warg i oczu sączyła się krew. Wtedy budziła się zlaną potem, z rękami i nogami zaplątanymi w pościel, bolącymi brzuchem i klatką piersiową. Samo myślenie o tym wszystkim przyprawiało ją o mdłości. Smród obwiązanego wokół szyi czosnku tylko pogarszał sprawę.

Zdjęła ów wstrętny naszyjnik i położyła go na trawie, po czym uniosła podbródek i wzięła głęboki wdech, chłonąc znane sobie aromaty jesieni – mieszanek zapachu wilgotnej gleby, spalonych

słońcem liści oraz dymu z komina. Mimo że powietrze pachniało znacznie przyjemniej niż czosnek, przypominało Pii o jej pierwszym strasznym dniu w nowej szkole, rok wcześniej. Ciągłe słyszała głos matki i nowej nauczycielki.

– Czy widziała pani list, który przesłałam do szkoły, pani Derry? – spytała *Mutti*.

– Tak, pani Lange, otrzymałam wiadomość. Ale chyba nic nie rozumiem.

– Proszę wybaczyć, chcę się tylko upewnić... – powiedziała *Mutti* z wahaniem. – Moja Pia jest, by tak rzec, delikatna. Nie lubi tłumy, nie lubi, kiedy się jej dotyka. Sama nie wiem dlaczego... – Matka zaczęła załamywać ręce. – Ale to normalna dziewczynka, i mądra. Bardzo proszę. Czy mogłaby pani dopilnować, żeby inne dzieci...

– Pani Lange, nie rozumiem, jak...

– Pia musi się uczyć. Musi chodzić do szkoły. Nie chcę, żeby ona...

– Już dobrze, pani Lange – ucięła pani Derry. – Tak, zrobię, co w mojej mocy. Tylko że dzieci wchodzi z sobą w kontakt cały czas, w trakcie zabawy, szczególnie na przerwach. To część procesu edukacji. Czasem nie będę w stanie tego powstrzymać.

– Tak, rozumiem. – *Mutti* westchnęła. – Ale jeśli Pia nie chce... Jeśli ktoś z dzieci nie będzie wiedzieć, że należy zostawiać ją w spokoju... Proszę...

Pani Derry położyła dłoń na ramieniu rozmówczyni, spojrzała na nią wzrokiem pełnym litości i powiedziała:

– Proszę się nie martwić, zaopiekuję się Pią. Powiadomię też innych nauczycieli.

Mutti kiwnęła głową, pozwoliła sobie na znużony uśmiech, po czym pożegnała się z córeczką i poszła.

Jednak ani pani Derry, ani pozostali pedagogowie nie uczynili zbyt wiele, by naprawdę zająć się Pią. Wspomnienie tamtej

rozmowy – matki załamującej ręce, starającej się przekazać swoje nietypowe obawy zdezorientowanej nauczycielce, podczas gdy Pia kuliła się u jej boku, a inni uczniowie patrzyli – powracało do niej za każdym razem, gdy wchodziła do klasy. Kiedy pozostałe dzieci bawiły się w „Chodzi lisek koło drogi” albo w starego nie-dźwiedzia, który mocno śpi, Pia stała z boku smutna i zarazem pełna ulgi. Niestety czasem nauczyciele nie patrzyli – rzecz nieuchronna – a wówczas niektóre dzieciaki dokuczały jej i ją szturchały, przezywając dziwadłem albo strachajłem. Teraz z powodu wojny Pia otrzymała miano Hunki.

Finna poznała jeszcze przed początkiem roku szkolnego – na szczęście, ponieważ dzięki temu mógł sobie wyrobić o niej własne zdanie, bez wpływu innych dzieci. Dzień po przeprowadzce całej rodziny *Mutti* kazała dziewczynce siedzieć na stopniach schodów przed domem i absolutnie się nie oddalać, sama zaś wdała się w dyskusję z mężem – Pia nie bardzo wiedziała o czym. Tęskniła za starym domem, chciało jej się płakać, z przerażeniem odkrywała, że płatanina zaśmieconych zaułków, brukowanych ulic, stojących jeden obok drugiego szeregowych domów stanowi dla niej pułapkę. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do życia tutaj.

Wtedy go zobaczyła, nadchodzącego z przeciwnej strony alejki. Próbowwała nie zwracać na niego uwagi w nadziei, że zmierza do wejścia od tyłu, lecz on zatrzymał się u podstawy schodów, odgarnął znad oczu grzywkę barwy miedzi i uśmiechnął się szeroko, przyjaźnie.

– Tyś tu nowa, co nie? – powiedział ciężkim irlandzkim narzeczem. – Jestem Finn Duffy, wasz sąsiad z naprzeciwka. – Wskazał odrapany trzypiętrowy budynek z cegły po drugiej stronie drogi, o wąskich oknach i czarnych schodach pożarowych.

Skinęła głową, zmuszając się do uśmiechu. Nie miała ochoty na rozmowę, ale też nie chciała być niegrzeczna.

– Tak – rzuciła. – Wprowadziliśmy się wczoraj.
 – Miło mi cię poznać, hm... Mówiłaś, że jak masz na imię?
 – Och, przepraszam. Nazywam się Pia Lange.
 – Bardzo mi przyjemnie, Pio Lange. Mogę ci pokazać, jak się gra w kulki? – Z kieszeni wytartych spodni wyjął płócienny woreczek.

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

– To może se z tobom usiąść? – zapytał. – Wyglądasz na samotnom, jeśli wolno się tak wyrazić.

Zastanawiała się, czy nie odpowiedzieć mu, żeby zostawił ją w spokoju, nie chciała jednak robić sobie wrogów już na samym początku. Skinęła tylko głową i przesunęła się, robiąc mu miejsce. Założyła swą plisowaną spódnice pod nogi i usiadła na rękach. Finn się uśmiechnął, a następnie przycupnął obok niej, choć w grzecznej odległości. Ku uldze Pii milczał, jakby wiedział, że konwersacja nie sprawi jej przyjemności.

Tkwili tak razem pogrążeni w myślach, obserwując trzy kolorowe dziewczęta z warkoczami i kucykami, które grały w klasy na jezdni. Jedna trzymała pod pachą szmacianą lalkę, której wiotka głowa chwiała się przy każdym podskoku. Grupa rumianych chłopców w połatanych spodniach i znoszonych butach kopała puszkę, krzycząc do siebie. Z otwartych okien dolatywały strzępy śmiechów, fragmenty rozmów, cicha muzyka z fonografu, unosił się zapach smażonej cebuli i pieczonego chleba. Nad ich głowami wilgotne, nieruchome powietrze przecinały liczne rzędy sznurów z mokrym praniem rozpiętych między budynkami niczym wstęgi cyrkowych flag. Ludzie wszystkich kolorów skóry, w każdym wieku i wszelkiej postury wylegali na schody przeciwpożarowe, a niektórzy siedzieli na odwróconych do góry dnem wannach i kotłach – wszyscy szukali ulgi od panującego upału.

Minęła ich, kuśtykając, jakaś stara Murzynka w brudnym szaliku oraz butach bez sznurówek. Nuciała pod nosem, ciągnąc drewniany wózek wypełniony szmatami i pustymi butelkami. Obeszła dwóch chłopców mniej więcej siedmio- lub ośmioletnich, którzy grali na kolanach w karty trzy domy dalej. Jeden z nich zerknął przez ramię na kobietę, potem zerwał się na równe nogi, chwycił coś z wózka i zwał ze śmiechem do swego kolegi. Staruszka szła dalej nieświadoma faktu, że została obrabowana. Drugi malec pozbiierał karty i zrobił to samo, co pierwszy, następnie obaj rzucili się do ucieczki.

Finn poderwał się i popędził za nimi; odciął im drogę, zanim zdążyli zniknąć w zaułku na tyłach. Krzyknął coś, czego Pia nie zrozumiała, po czym złapał chłopców za uszy i zaciągnął z powrotem do starej kobiety. Kiedy zrzucili na wózek to, co wzięli, oddalili się pospiesznie, pocierając małżowiny i spoglądając na Finna spod oka. Mamrotali pod nosem. Murzynka stanęła, rozejrzała się w końcu świadoma, że coś się stało. Ujrawszy Duffy'ego, odpędziła go chudą, sękatą ręką. Finn się roześmiał i wrócił do Pii, wzruszając ramionami i unosząc otwarte dłonie.

Ona również nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Znasz ją? – spytała.

– Nie znam – odparł zdyszany. Usiadł obok na podeście i otarł pot z czoła. – Ale widuję ją codziennie, jak sprzedaje szmaty i butelki na rogu. A tych chłopaczków znam, lubią rozrabiać.

– Twój widok niespecjalnie ich uradował – stwierdziła.

– Zapewne – przyznał Finn. – Ale nie będą już przy mnie broić.

– No cóż. Bardzo fajnie, że ich zatrzymałeś i kazałeś im oddać to, co zabrali.

Posłał jej krzywy uśmiech.

– Ach, czyż to nie wspaniale? Że masz mnie za fajnego? Dziękuję ci, Pio Lange.

Ciepło rozlało się po jej twarzy. Pokiwała głową, bo nie wiedziała, co powiedzieć, a potem wróciła do przyglądania się dziewczynom grającym w klasy. Czy on naprawdę uważał jej słowa za wspaniałe, czy może sobie z niej żartował? Uśmiech mógł świadczyć, że komplement mu się spodobał, więc Pia mówiła sobie, że tak właśnie jest. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Kiedy się dowie, że Pia jest Niemką, prawdopodobnie nigdy więcej nie zamieni z nią słowa.

Finn wychylił się naprzód z łokciami na kolanach i również obserwował bawiące się dziewczęta.

– Trzy lata temu przyjechaliśmy z Irlandii – oznajmił. – Jak długo jesteś w Stanach?

– Odkąd skończyłam cztery lata – odrzekła.

Uniósł brwi.

– Tak długo?

Przytaknęła.

– I cały ten czas mieszkasz tutaj, w Filli?

Pokręciła głową.

– Jesteśmy z Hazleton w Pensylwanii. *Vater*... To znaczy mój ojciec pracował tam w kopalni węgla.

Chłopak wciągnął ostro powietrze przez zęby.

– Cholernie ciężki kawałek chleba.

Znów przytaknęła. Przynajmniej nie zareagował na niemieckie słówko. A może się nie zorientował.

– To miasto może być odrobinę przytłaczające, jak się pierwszy raz przyjeżdża – podjął Finn. – Ale da się przywyknąć. Mój tata chciał tu mieszkać, ale nigdy nie udało mu się zobaczyć Filadelfii.

– Czemu?

– Nie przeżył podróży.

– Przykro mi.



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



[kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)